NAUKA I ROZRYWKA

Dodatek bezpłatny do „Dziennika Bydgoskiego" Wychodzi co 2 tygodnie.

Nr. 20. | Bydgoszcz, niedziela 26 września 1909. | Rok II.

Jak powstały miasta w Polsce.

Przed tysiącem lat Polska miała zupełnie inny wygląd niż dzisiaj. Ziemię całą pokrywały nieprzebyte bory, pełne dzikiego zwierza. Po drogach czaili się rozbójnicy. Gdzie niegdzie spotkać było można warowne zamczyste grody, z wysokiemi basztami, otoczone wałem, ostrokołem lub rowem głębokim. Do zamku prowadził most na łańcuchach „zwodzony". Kiedy taki most był zdjęty, wcale tam nie było można się dostać. W grodach mieszkali rycerze, a naokoło były osady kmieci niewolników.

Ludzie niemało musieli się zapracować, bo choć nie wielkie mieli potrzeby, ale sami też sobie wszystko robili. Gospodarz siał zboże, wyrabiał sprzęty i naczynia, niewiasty przędły nici, tkały płótno i sporządzały odzież. Pieniędzy prawie nie używano. Handel był tylko zamienny — to znaczy wymieniano jedne produkty za drugie, towarem płacono za towar, n. p. zbożem i miodem za bursztyn itd. Najczęściej zamiast pieniędzy używano płócienek — „płaków" — skąd pochodzi słowo „płacić". Rycerzom wszystkie potrzebne rzeczy robili niewolnicy. Bogatsi tylko kupowali ozdobną broń, piękne naczynia i inne wyroby, które kupcy przywozili do Polski z zachodu. Stan taki trwał do 14 wieku.

Stopniowo jednak coraz więcej było ludzi, którym nie wystarczały proste wyroby, coraz więcej amatorów na piękne towary zagraniczne. Tymczasem sprowadzanie z zagranicy nie było wygodne. Trudno jeździć tak daleko końmi po złych drogach, a tu jeszcze często rozbójnicy napadli kupców i towar im odbierali. Cóż kiedy Polska w tym czasie była spustoszona i nie było ludzi, którzyby rzemiosłem i handlem zająć się mogli. Od 12 wieku, kiedy to Bolesław Wstydliwy podzielił Polskę na księstwa, książęta nieustannie wojowali między sobą, a wojen z sąsiadami nie prowadzili — nie przybywało więc jeńców. Ciągle powtarzały się napady litewskiego plemienia Prusaków, którzy mnóstwo ludzi porywali. W XII wieku spadł na nas najazd Tatarów. Tatarzy doszczętnie Polskę spustoszyli. Wsie palili, pola stratowali, pozabijali bydło, ludność uprowadzili do niewoli.

Kto w takich czasach mógł się zająć rzemiosłem albo handlem? Myśleli długo książęta, coby tu zrobić, aż w końcu wymyślili, żeby sobie ludzi od sąsiadów sprowadzić.

Właśnie w tym czasie w Niemczech źle się działo. Było bezkrólewie. Rządził ten, kto silniejszy; ludność uciskana i grabiona przez rycerzy rabusiów, nigdzie sprawiedliwości znaleść nie mogła. Do Niemców więc książęta posyłali mądrych ludzi bywalców, którzy ich namawiali, żeby z ojcowizny swej do Polski się przenosili, obiecując, że im się tu dobrze dziać będzie. Niemcy całemi gromadami do Polski ciągnęli. Ci niemieccy koloniści zakładali koło dawnych grodów miasta.

Za przykładem książąt sprowadzali kolonistów biskupi i możni panowie. Koloniści zawierali z księciem umowę, spisywali układ t. zw. „Przywilej lokacyjny". Zapewniono w nim mieszczanom, że będą się rządzili według tych praw co w swojej ojczyźnie. Ten, kto sprowadzał kolonistów i umawiał się z księciem, zostawał wójtem i zarazem z ławnikami sprawował sądy. Zarząd miasta należał do burmistrza i rajców, którzy razem stanowili radę miejską. Mieszczanie przez pewien czas byli wolni od podatków, dopiero po upływie tego czasu, t. zw. „woli", płacili podatek pieniężny — czynsz.

Na otrzymanym obszarze koloniści oznaczali czworokątny plac — rynek. Budowano tu ratusz — dom radny. Na wszystkie strony rozchodziły się ulice. Ponieważ były to czasy, kiedy lada dzień mogli wpaść Tatarzy albo inni wrogowie, trzeba więc było budować miasta jak fortece, a domy tak, żeby się w nich bronić było można.

To też ulice były wąskie i kręte, domy miały mury grube, okna małe z żelaznemi okiennicami, drzwi ciężkie żelazne, podwórka małe jak studnie. Miasto otaczano wałem albo murem, po którym chodziła straż i w dal spoglądała, czy nieprzyjaciela gdzie nie widać.

Dawna stolica Polski — Kraków, do dziś dnia ma taki wygląd. Od Wawelu, zamku dawnych królów polskich, kołem opasywały miasto mury, z których jeszcze resztki pozostały. Dziś zamiast muru, w miejcu tem są wspaniałe aleje, t. zw. planty. Przy wjeździe do śródmieścia widać starożytną bramę Floryańską z basztami.

Przez wązkie ulice dochodzi się do rynku. Na środku stoi ratusz. Opodal widać Sukien-

nice, wspaniały gmach zbudowany przez Kazimierza Wielkiego w XIV wieku. Na przeciwko wznosi się prześliczny kościół Panny Maryi z ołtarzem rzeźbionym przez znakomitego rzeźbiarza Wita Stwosza.

Na około domy z porysowanemi od starości murami, które już dużo wieków pamiętają. Kto się znajdzie na rynku w Krakowie, może sobie łatwo wyobrazić, jak wyglądały dawne miasta.

Ciemna Rosya.

Rosyjska oświata ludowa posuwa się ślimaczym chodem naprzód — to każdemu wiadomo. Pomimo wszystkich nawoływań światlejszych z publiczności rząd kroczy swemi własnemi drogami, niezbadanemi dla zwykłego śmiertelnika. W pierwszej Dumie minister oświaty nie umiał wnieść innego ważniejszego projektu, jak żądanie pieniędzy na zbudowanie nowej pralni dla uniwersytetu w Jurjewie (Dorpat) i wyporządzenia tam pomarańczarni.

Do oświecania ciemnych mas ludowych nikt się energicznie zabrać nie chce. Tu i owdzie zbudują coprawda jakąś nową szkołę wiejską — ale to tylko kropla w morzu. Prywatnym usiłowaniom, aby działać oświecająco na masy, władze stoją na przeszkodzie z gorliwością, godną lepszej sprawy, zwłaszcza wtedy, gdy usiłowania te wychodzą ze strony postępowej.

Młodzież i ludność nauczyłaby się myśleć, a to w Rosyi niepotrzebne! Słowem — nieufność jest u rządu tam, gdzie powinna być pomoc i poparcie.

Cholera znowu dowodzi najwyższej nieświadomości po wsiach rosyjskich. Nie powinno to dziwić nikogo. Przecież nawet w Petersburgu znajdują się ludzie, którzy z całą stanowczością twierdzą, iż cholere szczepią stucznie lekarze! Wszystkie środki ochronne pozostają wskutek tego bez śladu.

Tak naprzykład niedawno jakiś robotnik pił na ulicy wodę z rury wodociągowej, otwartej dla polania ulicy. Gdy przechodnie zwracali mu uwagę na niebezpieczeństwo nabawienia się cholery, oświadczył naiwnie, iż woda musi być przecie przegotowana, skoro nią polewają ulice; inaczej szerzyłaby się tylko cholera!

Gdyby się nie obawiano karabinów, tłum z pewnością urządzałby demonstracye przeciwko barakom cholerycznym, przeciw lekarzom i służbie sanitarnej. Po wsiach czynią to chłopi ze skutkiem.

Mimowoli przypomina się tutaj powstanie w Petersburgu w r. 1831, gdy cholera po raz pierwszy zawitała do Rosyi i w samym tylko Petersburgu uśmierciła 5000 osób. Car Mikołaj I ukazał się sam bez orszaku dworskiego na targu wśród rozszalałego tłumu. „Na kolana“ — huknął swym potężnym głosem, a wszystko jak na skinienie legło przed nim w prochu. Gdzie jest człowiek, któryby w Rosyi posiadał dziś taką powagę chociażby tylko w przybliżeniu!?

We wnętrzu państwa nie odważy się z obawy o swe drogocenne życie żaden czynownik uspokoić i oświecać wzburzonych przez cholere tłumów. Nawet sama policya umyka przed tłumami. Na wyspie Taliabesk, w gubernii pskowskiej, powstała w tych dniach cała ludność przeciwko „lekarzom cholerycznym“ i groziła im śmiercią. Podczas lata mianowicie studenci uniwersytetu Jurjewskiego pod przewodnictwem profesorów przedsiębrali badania co do rybostanu na jeziorze Pskowskiem. Mieszkańcy są dziś święcie przekonani, iż panowie wsypali do wody proszek choleryczny. Cała wściekłość tłumu od czasu pojawienia się cholery zwróciła się przeciwko lekarzom.

Wielkie zgromadzenia pod przewodnictwem starszyzny postanowiły uśmiercić nieszczęśliwych lekarzy i studentów. Podczas gdy kilku studentów mogło się ratować zawczasu ucieczką, jeden z nich, Wolanskij, tylko z trudem uszedł śmierci, a wyszedł z biedy strasznie pokiereszowany.

„Cholerycznego doktora“ chciano koniecznie zabić. Dwóch odważnych chłopów chciało go bronić. Napróżno. Rozszalały tłum obstawał przy swojem i wrzucił nieszczęśliwca do jeziora. Z wielkim tylko trudem udało się lekarzowi uratować i dostać się do Pskowa.

Po nim nienawiść tłumu zwróciła się na felczera Wołkowa, zamieszkałego tam już od lat dwunastu. Najpierw miano obić jego dzieci, a potem jego samego. I tak się stało. Tłum zdobył następnie baraki choleryczne i zabrał czterech chorych do domów. Podczas tych zajść policyi nie było ani na lekarstwo.

Jak mało władza sama dba o oświatę, świadczy o tem inny wypadek. Profesor prywatny, Korczak, miał zamiar na przedmieściu Kijowa wygłosić kilka wykładów o cholerze i tyfusie. Gubernator zabronił.

W Pieremyszli chciała władza zabronić jakiemuś uczonemu ludowych wykładów z astronomii z obrazami świetlanymi. Dopiero po długich rokowaniach przyszło do wykładu o księżycu, przyczem cała treść musiała przejść poprzednio przez ręce władzy celem jej zbadania.

A kto przeszkadza oświacie w Rosyi? Car, jego rząd z urzędnikami i popi. Innej odpowiedzi niema.

Wielki los!

(Humoreska.)

Stary Burkot był niezwyle brzydkim i skąpym człowiekiem. Po śmierci żony sprzedał gospodarstwo, kupił małą nędzną chatę na skraju lasu i żył jak najbiedniejszy z wieśniaków. Miał tylko jeszcze starą służącą u siebie, Katarzynę, równie brzydką i kulawą w dodatku.

rem brata zostawił, a co mówił, zapomnieliśmy, więc do tego czasu nie wiemy, co się z nim dzieje. Dziesięć lat od owej chwili minęło, ja trzymam książeczkę tę oto, jako jedyną pamiątkę po bracie, która z rzeczami ojcowskiemi została. Teraz więc, mój panie, jeżeli znasz Józefa Kowalskiego, powiedz, może też to brat mój ukochany!

Tu Józef nie mogąc już dalej hamować swego wzruszenia, zawołał:

— Jakżeś ty cudowna, o Boże! — panienko, prawda, że ci na imię Ludwika?

— Tak jest, odpowiada zdziwiona.

— Więc witaj mi, droga siostro! krzyknie Józef, ściskając w swoich objęciach zdumioną dziewczynę, bo to ja jestem brat twój, ja Józef Kowalski!

Rozczuleni tem niespodziewanem znalezieniem się nie mogli i słowa przemówić, dopiero gdy pierwsze powitania minęły, Ludwika poprosiła brata do przybranej matki, a idąc drogą, przypominali sobie wypadki dawniejszego życia.

— Moja Ludwisiu kochana, pamiętam jak dziś tę godzinę, w której myśmy się rozłączyli. Jacyś państwo widząc naszego ojca z dwojgiem dzieci, zabrali cię z sobą do najbliższego miasta, a że w powozie nie było tyle miejsca ojciec szedł pieszo, tyś się cieszyła, że jedziesz powozem.... byłaś taka mała.... Mój Boże, jakaś ty ładna teraz, jakeś wyrosła. I znowu ją uścisnął i znowu dziękował Bogu, że mu pozwolił tak cudownie znaleść przyjaciółkę z lat dziecinnych, jedyną siostrzyczkę kochaną.

— Tyś pojechała, mówił dalej, a ojciec do dnia następnego został, i kiedy mnie już oddał do kotlarza, ja odprowadziłem go aż do najbliższej wioski. Przed kościołem ojciec kazał mi przy sobie uklęknąć, a gdyśmy się pomodlili, rzekł uroczyście: „Mój Józefie, ja pewno długo nie pożyję, ciebie i Ludwikę poleciłem Bogu, błogosławię cię więc mój synu, idź prostą drogą na świecie, pamiętaj o Ludwice, i żyj tak, abyśmy się znów w niebie połączyć mogli". Przeżegnał mię potem, łzę otarł i zniknął za murami kościoła. Od tej chwili nie widziałem go więcej.

— Dobry i kochany nasz ojciec, rzekła Ludwika, zanosząc się od płaczu. On teraz pewno w niebie, a jego błogosławieństwo widocznie nad nami spoczywa. O! Józiu kochany, jakże to wszystko cudowne! Przed kościołem pożegnał cię ojciec, i tu znów przed ołtarzem my dzieci jego spotykami się z sobą! To Boskie zrządzenie! Jakże to dobrze, żeś ty pamiętał na przestrogi ojca i kościoła nie minąłeś; gdyby nie to, pewnobyśmy się w życiu nigdy nie widzieli.... No teraz pójdź do mej przybranej matki, ot niedaleko w tym domku na brzegu miasteczka; jest to bardzo zacna kobieta, wdowa, kocham ją, jak własną matkę.

Wkrótce stanęli na miejscu; pani Sierpińska dowiedziawszy się, jakim to cudem znaleźli się oni w kościółku, rozrzewniła się bardzo, widząc w tem oczywiste zrządzenie Boskiej Opatrzności.

Józef osiadł w miasteczku, w którem siostra jego i pani Sierpińska mieszkały; wziął się z zapałem do pracy. Zdolność jego i akuratność zjednały mu wkrótce wziętość, która go doprowadziła do zamożności. Pracował on teraz na to, aby siostrze i jej dobrodziejce, która dotąd żyła z pracy rąk swoich, dać utrzymanie i wynagrodzić zacne jej serce, jakie względem sieroty okazywała. I Bóg pobłogosławił pracy Józefa, spełnił szlachetne jego zamiary.

Pani Sierpińska była odtąd w jego domku, jak w domku synowskim. Siostrę poczciwy kotlarz niedługo wydał za mąż, a w lat kilka dorobiwszy się jeszcze znaczniejszego majątku, nie zapomniał o pustym kościółku. Odnowił go całkowicie, obsadziwszy lipami dokoła. W jednym ołtarzu ustawił nowy obraz przedstawiający Najświętszą rodzinę; Matka Boska z dzieciątkiem Jezus na ręce siedziała przed swoją chatką, której ściany oplatały liście winogradu, a św. Józef opiekun podawał dzieciątku koszyczek z winogronami, i oboje patrzeli na Przenajświętszego Wychowańca swego z taką niewymowną rozkoszą, jaką Bóg tylko daje wybranym swoim, uczciwym rodzicom kochającym dziatki. U spodu zaś był napis:

Gdzie kwitnie praca, pobożność i zgoda,
Tam mieszka szczęście i święta swoboda!

Niedoszła walka.

Pan burmistrz był wielkim amatorem zwierząt. Miał on trzy psy, cztery koty, kilkanaście królików, dwie morskie świńki i jeża, który swobodnie biegał po kancelaryi; prócz tego miał wiele zwierząt wypchanych, a całem jego marzeniem było, mieć oswojonego tygrysa, lwa, albo przynajmniej niedźwiedzia. Drugim takim amatorem był pan aptekarz i od niego też nabrał pan burmistrz i zamiłowania i potrzebnych wiadomości, jak się ze zwierzętami obchodzić. Pan aptekarz był jednakże przeważnym zwolennikiem ptaków, to też miał cztery kanarki, papugę, gila, kosa i srokę, burmistrz największy zaś miał pociąg do czworonożnych.

Pewnego pięknego dnia, burmistrz siedział w swoim biurze, nadszedł jakiś po komedyancku ubrany jegomość i prosił o konsens na przedstawienia.

— A jakiego rodzaju te przedstawienia? — zapytał burmistrz.

— Mam znakomitą menażeryą.

— Ej, ej, zawołał burmistrz uradowany — to my niejako kolegami jesteśmy! a masz pan też piękne okazy zwierząt?

— Ba i jakie! Małpy, niedźwiedzie, lamy, dzikie koty, kameleony, białe szczury — — —

— A będą też jakie nadzwyczajne produkcye?

— Rozumie się. Jeżeli pan burmistrz, pozwoli, to zaraz na jutrzejszem przedstawieniu urządzę wielką walkę węża grzechotnika z olbrzymim żółwiem.

To było dla pana burmistrza zupełnie czemś nowem.

— Walka węża z żółwiem! Czy to podobne?

— Tak jest. To osobny rodzaj olbrzymich żółwi, które są bardzo niebezpieczne i na ludzi się rzucają. Najulubieńszą ich strawą są węże, które przed nimi ani się obronić, ani uciec nie mogą. Rodzaj ten żółwi dotychczas był nieznany, dopiero przy zbadaniu środkowej Afryki odkryto go nad rzeką Lualabą, gdzie krajowcy te żółwie we wielkiem mają poszanowaniu z wdzięczności, że tak znakomicie tępią węże.

Burmistrz uradowany dał żądany konsens i darował nawet opłatę. Potem czemprędzej zrzucił domowe ubranie i pobiegł do aptekarza, aby mu zanieść tę ważną nowinę o niezwykłem widowisku. Aptekarz więcej jeszcze był zdziwiony, bo mu się w głowie pomieścić nie mogło, aby węże pochłaniane były przez żółwie. Miał on piękną biblioteczkę, przeszukał wszystkie książki, traktujące naukę o zwierzętach, ale nigdzie nie znalazł o tem wzmianki, i ostatecznie przestać musiał na tem, że ten gatunek żółwi dotychczas był nieznany, to też o nim pisać nie mogli.

Wiadomość o jutrzejszem widowisku lotem błyskawicy rozeszła się po mieście. Burmistrz z aptekarzem kilkakrotnie przechadzali się po rynku, aby się przypatrzeć budzie, którą stawiano. Wieczorem w lokalach publicznych o niczem nie mówiono, tylko o walce węża z żółwiem, a burmistrz i aptekarz przez całą noc oka zmrużyć nie mogli.

Nazajutrz burmistrz, aptekarz i cała arystokracya miasteczka wcześnie zamówiła sobie lepsze miejsca w budzie, a po południu krótko przed przedstawieniem, tłum liczny oblegał budę, przed którą na pierścieniu kołysała się skrzecząca papupa, a obok niej na drewnianej wystawce małpka pocieszne wyprawiała podrygi. Na wielkiem płótnie wymalowane były rozmaite dzikie, straszliwe zwierzęta, a na estradzie przed budą rżnęła miejscowa kapela, złożona z kilku nie zupełnie zgodnych ze sobą trąb, a w takt do poleczki podrygiwał jakiś malec z ogromną, potworną głową, której nieruchome rysy twarzy, jaskrawe barwy i szklane oczy zdradzały, że to była maska z masy papierowej, wsadzona na główiznę jakiegoś ulicznika.

Po każdej sztuczce pan dyrektor menażeryi donośnym głosem zachwalał cuda, jakie w budzie można oglądać, wyliczał niestworzone zwierzęta i ich przymioty, jak np. lwy, które takie wielkie woły, jak szacowni obywatele miasta, niby piórko w paszczękach unoszą, a hyeny, co groby odkopują i trupy żywcem pożerają itp. W końcu dodawał zawsze, że na rozkaz wielmożnego pana burmistrza olbrzymi jego żółw walczyć będzie z wężem grzechotnikiem. Słowa pana dyrektora stwierdził olbrzymi łeb na karku malca poważnem przytakiwaniem.

Długo nietrwało, a buda była literalnie nabita, a arystokracya zajmowała przedniejsze miejsca. Oczekiwania publiczności zostały cokolwiek zawiedzione, bo nie było ani słonia, ani lwa, ani nosorożca, ani innego osobliwego zwierza, tylko pospolite: małpy, kuny, tchórze, morskie świnki, jeże, jaszczurki, ptaki itp., był też niedźwiedź, tygrys i wilk, ale wszystkie zwierzęta należały do rzędu tak zwanych zdechlaków, widać, że nie nauczyły się jeszcze żyć samem powietrzem. Każdy jednak pocieszał się ciekawą walką.

Muzyka grała, a publiczność oglądała zwierzęta; następnie pan dyrektor dawał szumne objaśnienie; ostatecznie karmiono zwierzęta, co też długo nie trwało, bo zgłodniałe bydlęta wnet pochłonęły podane im odrobiny strawy.

Wreszcie — wreszcie nadeszła oczekiwana chwila. Pan dyrektor usunął zasłonę małego wywyższenia i na linie wyciągnął z poza desek na tę estradę wielkie — ociężałe żółwisko.

— Panowie, — odezwał się uroczyście — oto żółw olbrzymi, z rodzaju tych, które są silniejsze od wężów, bo nietylko ja, jak panowie widzicie, na jego grzbiecie stawać mogę, ale i wóz z kilkudziesięciu centnarami przejedzie przez niego i skorupy jego nie zgniecie. Skoro tylko węża pokona, natychmiast go zjada, a najlepszy tego dowód, że wszystkie moje węże pojadł, i nie mam już ani jednego. Na rozkaz wielmożnego pana burmistrza ma się odbyć walka tego żółwia z wężem, jeżeli tedy który z panów ma przypadkowo węża przy sobie, to walkę możemy zaraz rozpocząć.

Nastała długa chwila ciszy.

— Masz ty może przypadkowo węża przy sobie? — zapytał z cicha aptekarz burmistrza.

— Nie mam, a ty?

— Ja także nie mam, — no, to pójdziemy do domu.

— O huncwot! To z nas zadrwił! Ale ja go zaraz — — —

— Cicho! Nic nie mówmy, bo nas jeszcze wyśmieją!

I pan aptekarz i pan burmistrz nic nie mówili i poszli spokojnie do domu.

Humorystyka.

Au!

— Ależ panie — cóż to był za osieł, który pana przy goleniu tak pokrawił?

— Przepraszam, ja się sam golę.

* * *

Dwaj nauczyciele muzyki rozmawiają o swoich uczniach.

— Jakże — pyta pierwszy — czy młody człowiek, którego poparłem przed tobą, robi postępy w muzyce?

— Miałeś też kogo popierać — odpowiada drugi — ależ on wcale ucha niema, to osieł.

— Jeżeli osieł, to na brak ucha skarżyć się nie możesz — zrobił uwagę pierwszy.

Drukiem i nakładem Jana Teski w Bydgoszczy. Redaktor odpowiedzialny Jan Szmańda w Bydgoszczy.